

*

Warto cokolwiek! W życiu warto cokolwiek, choćby chodzić i oddychać, sięgać po coś z półki albo siedzieć na krześle w kuchni i wpatrywać się w okno. Byle być, bo za chwilę może się okazać, że jestem po coś. Gdybym wczoraj nie spróbował dotrzeć tu, gdzie jestem dziś, nie byłoby jutra. Możesz niewiele. Ale jeśli pozbędziesz się zaledwie trzech liter z tego krótkiego zdania, wszystko się odmieni. Muszę w to wierzyć, bo inaczej wyskoczyłbym przez okno. Wyskakiwanie przez drzwi jest totalnie bez sensu. No, chyba że nagle, z zaskoczenia, jeśli się chce za nimi zacząć na życie. Wyskakiwanie przez okno to swoisty rytuał przejścia. Na tamtą stronę, na zachód nieba, gdzie słońce już nie wschodzi. Z okna, z balkonu na chodnik, na śmierć. A ja? Sam już nie wiem, co ze mną. Nie martwy, lecz zmartwiony. Nie smutny – zniechęcony. Jutro kolejny poniedziałek, ósmy w tym tygodniu. Nie sympatyzuję z tym dniem. Dzieje się nic, z krótkimi przerwami na coś. Niekoniecznie dobrego, niepowiedziane, że złego. Niekoniecznie jakiegos. Nic się nie stało. Wszystko gra. Wszystko to gra, udawanie zadowolenia z życia. Ludzie widzą jedną z wielu masek, uśmiech numer sześć. A w mojej głowie cisza, spokój. I nie ma tam miejsca nawet dla mnie. Wszędzie wszyscy, wszystko wokół, a w mojej głowie bezruch, pustka, spokój.

Dzień należy zacząć od oddechu, bez tego nawet kawa może okazać się zbędna. Nie bardzo pamiętam, czego w ogóle od życia chciałem, może po prostu czekolady? Tyle że już

nie jestem dzieckiem. Chyba że mentalnym nastolatkiem w mieszkaniu na czwartym piętrze w centrum Krakowa. To w nim, gdy jak co rano otwieram oczy, mam ochotę dla równowagi w przyrodzie zamknąć coś innego. Choćby się – w sobie. Tak czy owak, z naciskiem na owak, cokolwiek to znaczy, moje dotychczasowe życie wyglądało jak odczyt wykresu EKG: wzloty i upadki, wzloty i upadki, wzloty i upadki... Ze zwycięstw się cieszyłem, dzięki porażkom doceniałem sukcesy. Prosta droga, podobnie jak prosta linia, oznaczałaby śmierć. Zmęczyłem się jednak. Po prostu zmęczyłem. Życie to eksperyment testujący wytrzymałość organizmu. Tak niewiele zależy ode mnie. Wandalizm na mojej duszy wyrządzoney, ławki powyrywane, że nawet nie ma na czym usiąść, nie ma jak odpocząć. Przyjeb mi, czym tylko zechcesz.

Chwile takie jak ta sprzyjają myśleniu. Inne tylko do niego zmuszają. W sekundę można co najwyżej mrugnąć, w minutę zdziała się niewiele więcej, ale gdy minuty scalają się w godziny, a godziny w dni, nagle okazuje się, że sekunda przeistoczyła się w tydzień. A przecież ledwie zdążyliśmy mrugnąć! Potrzebuję około godziny, by dotrzeć do domu, potrzeba mi kilkuset mrugnięć, by być z bliskimi. Nieczęsto mam okazję nie myśleć. Ciągłe pracuję, nie jestem zwolennikiem przemocy, ale ostatnio pobiliem swój rekord. Prowadziłem wykłady przez cały dzień i choć wieczorem nie wymówiłem przy kolacji już ani jednego słowa, bo odkryłem, że moje gardło wyscielone było nie tkanką, a szkłem, które chyba się potłukło, byłem z siebie dumny, że podołałem. Coś im przekazałem. Nie zawsze tak jest, więc trzeba się cieszyć, że coś do nich dotarło. Patrząc na nich i doskonale wiem, co sobie myśla.

Pan M. coś tam mówi, chce być słuchany, chce być czytany, chce być szanowany, w ogóle chce być „-any”, może nawet kochany, ale wszyscy go olewają. „Pan M.”, bo przecież nikt nie pamięta, jak ten facet ma na nazwisko. Mazurek, Menzurka,

Mazur, co za różnica, byleby zaliczył. Stary pierdziel, w łóżku już pewnie dawno przestał zaliczać regularnie. Ale Pan M. już wie, że Pani X na stopień magistra nie zasługuje. Bo Pani X przysłała na egzamin albo na jedną ze stu poprawek i mówi kserem. Mówi cudzymi literami, cudzą czcionką, nie myśli, nie rozumie, powtarza bezmyślnie. Panu M. może i się w życiu i pożyciu nie układa, może i nie zalicza, ale za to dobrze wie, że ona ściąga. Ściąga przed kim popadnie, przed kolegami, kolegami kolegów, za piwo, za chwilę uwagi. Pan M. nie skorzysta, bo jest wierny. Puści ją w końcu, bo mu jej żal, ona sama puściła się już przecież tyle razy. Miał nauczyć, wychować, woli dać sobie spokój. Daje go sobie i jej. Może, gdy zostanie kimś, przestanie być sobą. Żalona.

Dziś znów muszę się zmagać z ich życiowymi oczekiwaniami. Wykładowca, dobre sobie. Jedyne, co mogę wyłożyć, to kawa na ławę. A i to nawet nie, pozostaną przy herbacie, bo co im niby powiem? Dopadł mnie kryzys, wypalenie. Skończyła mi się paczka, a łatwiej rzucić papierosy niż robotę. Nie kupię nowej. Ich paczki też się skończą, a takie niby wielkie przyjaźnie od wódy, fajek, jointów i ksera. Wkrótce zaczną tworzyć papierowe fortyfikacje z książek, bronić przyjdzie im się niebawem. Ostatnia studencka sesja w ich życiu, kolejna będzie pewnie terapeutyczną. Pełni wiary w zwycięstwo. Victoria! Wszystko im się należy. Dziewczynom nogi same rozkładają się w V, bo przecież studia to czas szaleństw. Co to za czasy? Co to za ludzie? To jeszcze ludzie czy już symbole seksu i sukcesu? W zależności od płci. Choć i to przestaje mieć znaczenie, podobno. Idźcie do domu, panowie niech się nauczą naprawiać samochody, a panie szyć, bo studia wam przeżyć nie pomogą. Niechby się im udało. Niechby mi dali spokój. I tak pewnie wylądują w marketach albo nawet będą pracować oralnie. Jeśli nie na ulicy, to w najlepszym wypadku w telemarketingu. A niech wierzą w sukces, w wielką moc

wykształcenia, choć ich matki po zawodówkach, pilnując od lat szaleństw miejskich, zarabiają pewnie więcej, niż one kiedykolwiek dadzą radę wyciągnąć na tych swoich śmiesznych umowach o dzieło. Artystki! Ciekawe, jakie dzieło można napisać na klawiaturze kasy fiskalnej? Epopeję narodową o rachunku sumienia Polaków? I tak mi minie kolejny weekend w pracy. W niedziele pracują tylko księża, niewierni i wierni. Księża, bo taki mają zawód, niewierni, bo to jeden z tych dni, kiedy kochanka jest odprężona, w przeciwieństwie do żony, i trzeba poszukać pretekstu, by zniknąć z domu. I wierni, bo ich nie stać na przeżycie, a jednym chuderlawym ciałem Chrystusa nie da się w czasie eucharystii wykarmić całego kraju. Ludzie nie biją się o kraj, biją się o pracę. Tylko po co? Skoro nie chce się żyć, to można przestać. Za sto lat nie będzie już nikogo, kogo znam. Ja umrę, Kraków przetrwa. Jeszcze się taki nie urodził, który by w końcu nie umarł. Gdyby tylko śmierć była mniej nieodwracalna. Gdyby ktoś policzył oddechy, które pozostały mi do końca, panicznie bałbym się oddychać.

Słowa niezborne, myśli rosochate, rozgałęziające się, wybuchające, naturalne, dzikie. Myśli nieprzemyślane. W pracy stale muszę skupiać na czymś uwagę, w domu absorbują mnie różne sprawy. Nawet między jednym a drugim miejscem docelowym nie mam czasu na niemyślenie. Gdy wracam samochodem z pracy do domu, muszę się skupić na drodze, by nie zespolic facjaty jakiegoś dzieciaka przebiegającego przez jezdnię z karoserią naszego kilkuletniego auta. Naszego, bo przecież tak miło nam było, to miłość zmieniła nas w „Nas”. Wpierw powstaliśmy „My”, ale na tym nie poprzestaliśmy, bo teraz „My” to liczba mnoga. Rodzina wielodzietna, bo w dzisiejszych czasach dwoje dzieci to już wiele. Wielu twierdzi, że za wiele. Prognozy są coraz gorsze, burze z gradobiciem, a bić przecież nie wolno. Specjaliści ostrzegają, że jeśli tak dalej

pójdzie, to tych wielu nie będzie za wielu. Nie będzie już tłoku pod drzwiami łazienki i porannych śniadań przy wspólnym stole. Wszystko w biegu. Niebawem zaczniemy żyć ubrani w aerodynamiczne kombinezony z dziurą na tyłku, kroczu i nosie, aby móc się wypróżnić i oddychać, ale już bez otworu na usta, bo po co rozmawiać? Nie będzie emerytur, bo znikną kolejne pokolenia, które miały na nie dla nas zapracować. Moi rodzice już nie żyją, ale ja wciąż pracuję. Na moich barkach spoczywa emerytura innych, może nawet teściów, choć nie znoszę rodziców Goški. Jak dla mnie mogą się żywić tynkiem ze ścian i popijać z kałuży. Podobno na dom zarobili własną krwawicą, szkoda, że się przy okazji nie wykrywawili. Na nic nie wydają, ale pomoc nam nie chcą. Pewnie w ramach ostatniej woli zażyczą sobie trumien przypominających fikuśne origami, wykonanych z banknotów. A niech zabiorą do grobu całe swoje skąpstwo. Do auta nam się dołożyć nie chcieli, choć wiedzą, że Grzegorz nie może sam jeździć autobusami, a kto ma czas z nim kursować? Nie jego wina. „Trisomia 21” to nie tytuł krwawej gry czy jednego z tych horrorów, w których zmutowane potwory krążą po opuszczonym mieście, wyskakując nagle zza porzuconych na środku jezdni płonących aut. Chwała Bogu, że w naszym coś się schrzaniło, sam już niejednokrotnie chciałem je podpalić. Po cichu cieszyłem się z awarii, bo nareszcie znalazł się pretekst, by je zmienić. A ja chcę zmian! Dostyc mam tej życiowej stagnacji. Jestem typowym facetem, najchętniej kupiłbym sobie jakieś żółte albo czerwone, sportowe. Lubię szybką jazdę. Czy ja wiem, czy przejechałem na czerwonym? Nie wydaje mi się. Było żółte! Zresztą nie jestem rasistą, uważam, że kolor nie ma znaczenia, liczy się człowiek. Liczy się brak człowieka na pasach. Nocą, pustymi ulicami... Gdzie ja się mam wyszaleć? Poważny ojciec, pan nauczyciel, wypada, nie wypada, wypadnie. Przez przednią szybę!

Moje życie ma coś na kształt sensu. Tak sobie powtarzam, by uwierzyć. Nigdy nie mieć siebie dość – to chyba jedyna recepta na szczęście. Nie siebie nawzajem z drugą osobą, bo szczęście to przecież nie tylko związki. Nie mieć dość samego siebie. Kochać się w sobie. Ja czasami wystarczam sobie do szczęścia. Mam, a raczej miałem swoje pasje, zainteresowania, poumieszczone w świecie różne haczyki, na które odwiezalem codzienne obowiązki, okrywające mnie szare płaszczyzny dni. Wtedy i ty to dostrzegałaś i pragnęłaś stać się „My”, bo faktycznie szczęście podzielić jest najłatwiej, widać składa się z kostek, jak czekolada. Pewnie dlatego jest tak pomocna przy produkcji endorfin. Kochając siebie, dotrę do ciebie! Wierzyłem w to przez lata, tylko gdzie skrył się tamten ja? Włożył przeciwdeszczowe palto i wybiegł w zawieruchę, gdzie deszcz symuluje łzy i nawet nie trzeba już płakać nad swym losem? Przecież ja już nawet nie jadłem czekolady, bo i tak dorobiłem się już brzucha. W młodości się go po prostu ma, jak nogę, rękę, szyję, kręgosłup. Na starość wszystko stanowi problem. Tu mnie boli, tam mi strzyka. I jeszcze ten cholerny cholesterol! Mam złogi smutku w żyłach. Sekundy jak cegły zbudowały mur czasu, który oddzielił mnie od chwil, gdy byłem szczęśliwy. Nadal w nas wierzę, wwierciłaś, wwierzyłaś się we mnie, ale sam nie wiem, czy aby nie trwamy tak już tylko dlatego, że nie da się tego odkręcić? Odwierzyć?

Nawet nie wiedziałem, jak przyjemnie jest siedzieć i nic nie robić. Mieć czas, by myśleć o braku czasu na niemyślenie. Powinienem zostać myśliwym, polować na te krótkie ulotności, gonić za nimi, a nie za pieniądzem. Gdyby tak przemyśleć dzień, nie to, co się po kolei w nim działo, lecz po prostu przemyśleć go całego, tak jak się przesiaduje, przepija, przetrawia... Odruchowo i właśnie BEZ zastanowienia. Tak jak teraz. Nie kieruję swoim życiem, ba, nie kieruję nawet tym pojazdem. O dziwo, w tej zatęchłej puszczy jest wygodnie. Po

prostu, gdy przyjdzie twój czas, wysiadasz na przystanku i już. Bez wysiłku. No, może z niewielkim, włożonym w przedarcie się do drzwi przez ten tłum żyjących „na stand by-u”, jakby ktoś najechał myszką i wybrał właśnie tę opcję, zamiast zamknąć ich po prostu. Nieobecnych, zawieszonych, wpatrzonych wzrokiem, który nie widzi, w coś, czego nie ma.

Czy mnie też to wszystko już tak mało obchodzi? Czy moje życie to też jeden wielki omam? O! Mam samochód! O! Mam żonę i dzieci! O! Mam to gdzie?! Bynajmniej nie gdzieś nieopodal, w ogrodzonej posesji na terenach podmiejskich. Wręcz w dupie to mam! To przechodzi ludzkie pojęcie! Ale grzecznie, na zielonym świetle. Rozejrzawszy się uprzednio trzykrotnie: w lewo, w prawo i jeszcze raz w lewo. Asekurant! Albo samo kurant nawet. To jeszcze gorzej. Czas mija, a ja jak ten pozytywkowy mechanizm wygrywam wciąż te same melodie. Niezmiennie od lat. Zim, wiosen i jesieni także. Na ludową nutę, staropolskie, by było tak, jak ojciec z matką uczyli. Z dziada pradziada. A raczej z pradziada do dziada, bo coraz większa bieda, dziadostwo i już nawet nie ma się co ludzić, że nastąpi odmiana losu. Pozytywne nastawienie może i kiedyś tu było, ale poszło na spacer, by ochłonąć po kłótni, i się ulotniło. Znikło jak słodycze z torby z cukierkami, w której zaledwie chwilę temu było ich mnóstwo, a teraz brakuje już pewnie z dwanaście. Z tym że ja zjadłem to dwa, a ty wzięłaś naście. Nic się nie układa i człowiekowi na pociechę pozostaje tylko poranny smród z ust i wielki problem z zaaklimatyzowaniem się w tym dniu. W kolejnych środach czy innych poniedziałkach, piątkach albo pieprzonych czwartkach. Po co patrzeć, skoro nie widać już żadnej przyszłości? Otwierasz oczy i już żałujesz, że ośmieliłaś się podciągnąć do góry błonę powiek, na ułamek sekundy zapominając, że natura wymyśliła je po to, by schować cię przed światem. Jak dzieci skrywające się za dłońmi, w które chowają twarz i myślą, że ich nie widać. Ten

dzień jest kolorowy, barwny i jaskrawy, tylko akurat dziś też mu się nie chciało wstawać, więc nakrył się kołdrą z cumulonimbusów i śpi.

Oczywiście nim odkryłem, że komunikacja miejska nie boli, szlag mnie trafił i krew zalała. Gośka śmiała się, widząc moją złość ewoluującą w stronę wściekłości.

– Mnie krew zalewa co miesiąc. W ramach empatii raz na ruski rok może i ciebie. Nie obrażając Rosjan – żartowała.

No tak, stałem się typowym wygodnikiem. Ale jak krew miała mnie nie zalać? To i tak cud, że nie wyniknęło z tego drugie Morze Czerwone. Zakończyło się na małej strużce. JA MAM JECHAĆ AUTOBUSEM?! Ale jak się z tego korzysta, ja się pytam? Codzienne czynności to wiadomo, jak wyglądają: wsiąść, odpalić silnik, ruszyć, zatrzymać, wysiąść, wybrać, zapłacić. Wszystko mechanicznie. Wszystko niczym badziewie na paluszki R6, produkowane na tony przez tych małych ze skośnym spojrzeniem. To rozumiem, ale żeby autobusem? W moim wieku? Z moimi nawykami? Z moją pozycją? Tak ostentacyjnie mieszać się z motłochem? No dobrze, już dobrze. Dorobiłem się kilkuletniego auta i mieszkania. Wynajmowanego, więc tak nie do końca w poczet dorobku. Okej, okej, może i jestem zwykłym pracownikiem zwykłego uniwersytetu, zarabiającym zwykle pieniądze w zwykłych nominalach i przeciętnych ilościach. Nie żeby bułkę przez bibułkę, parówkę przez chusteczkę, gdyż, iż, albowiem... ale autobus to jednak upokarzające. Tak to ja się przemieszczałem wiele lat wstecz. Od spodu to już tylko złomiarze pukają, bo chyba tylko ich nie stać na bilet. Ja to co innego. My to co innego.

Oglądamy czasem z Małgorzatą amerykańskie filmy o takich jak my. Przeważnie gdy leżymy wieczorem w łóżku, nie mając jakoś dziś ochoty na seks. Coraz częściej, ale oczywiście jeszcze się do tego nie przyznajemy. Jesteśmy dopiero co po czterdziestce, nie czas na problemy z pożyciem. A więc

Amerykianie tacy jak my... Nie chodzi o ten cały *American dream*. Po prostu tamci bohaterowie też są czasem sfrustrowani.

Rozbierzmy się z naszych ciuchów, naszych skór. Pozbądźmy się rozbieżności ciał. Stoję przed tobą ubrany w całą swoją nagość, lecz nasza namiętność już dawno polega tylko na ocieraniu ciał o wykrochmaloną pościel, przykrywaniu się sztywnością. Trochę w tym też twojej winy – jak kochanka leży pośrodku i kusi na naszą zgubę. Odchodzę od zmysłów, szaleję na myśl, że nieistotny staje się dotyk dłoni, smak mojego języka w twoich ustach. Odchodzisz od zmysłów. Moich. Już prawie nie rozmawiamy, cisza jest „dźwiękiem”, który słyszę najczęściej. Może dlatego zwracam na nią większą uwagę, bo wbrew pozorom jest najgłośniejsza? Przyzwyczajiliśmy się do swojej obecności tak bardzo, że już się nie dostrzegamy. Nie widzimy się nie tylko beznamiętną nocą, z powodu ciemności. Teraz tylko czujemy swoją obecność. Nie w ramach bliskości, a dosłownie, choć przyznaję, że uwielbiam twój zapach, mógłbym się inhalować twoimi perfumami. Stoję przed tobą jak przed plutonem egzekucyjnym. Wyegzekwuj teraz, co zechcesz! Zmusz lub muśnij... Czuj, czuj, czuwaj. Jako i ja czuwam nad twym snem, by nie zbudziło cię nic, bo nigdy za dnia nie wyglądasz tak beztrosko, jak wówczas, gdy jesteś, lecz cię przy mnie nie ma. Żyjesz wówczas w świetle po drugiej stronie powiek. Czuj, czuj, odczuwaj... Kocham twoje sfery. Nie tylko erogenne. Wszystkie miejsca, w których mogę cię dotykać. Uwielbiam twoją sypialnię, choć zawieruszyła się gdzieś jej naszość, lubię patrzeć, gdy krzątasz się po kuchni i gdy czytasz odprężona w fotelu. Bo twoje miejsce jest przy mnie. Chociaż nie, nie ma się co oszukiwać. To moje miejsce jest przy tobie. Często śmiejesz się, że robię się coraz okrąglejszy – „przy sobie”. Staję się puszysty, miękki. Mięknę, bo zajadam zawodowe stresy. Przede wszystkim jednak nie chcę

być w pracy, nie chcę być przy sobie. Chcę być przy tobie. Jesteś moją Gosią, skarbem, Małgorzatą. Moją Małgorzatą, bo wciąż upijam się tobą i kręci mi się od ciebie w głowie. Tylko kiedy ja ci ostatnio o tym wspominałem? Przemalujmy świat na kolory pastelowe i zagnieźdźmy się w nim, rozkokośmy. Ja się zwolnię z pracy, albo chociaż zwolnię nieco, choćby tempo, i niech się wszystko układa. W domki i wieże, w statki i kosmosy. Jak klocki, gdy świat był dziecinnie prosty. Huśtawkę, zjeżdżalnię, rower, garnczek i patelnię łączy rdza i człowiek. Tylko co łączy rdzę i człowieka? Korodują nasze ciała. Zestarała się ta miłość. Ty farbujesz się na rudo, mnie na rudo rdza pokrywa. Starość już ci się zaczęła w oczach, wysycha oczu twoich morski lazur. Mnie także młodość się powoli kończy. Mimo wszystko zrobmy sobie z tego romantyczną historię na własny użytek.

Myśl za myślą, a pomiędzy myślnik. Nie przecinek, bo to wątki odmienne, zdania niespójne, historie przeróżne. Kropki też nie, bo to jednak jest ciągłość, jeden słowotok. To nie koniec. Więc myślnik. Więc myśli.

Jak by na to nie patrzeć, nie spoglądać czy wręcz gapić się – mam czterdzieści lat. Nieco ponad, ale tylko nieco. I nie mam żadnego kryzysu, nie wstydzę się swojego wieku, nie uważam się za aseksualnego i żeby to było jasne. Starzeję się jak wszyscy, może przydałoby się już rozstawić rusztowania i zrobić generalny remont elewacji, ale to dobre dla celebrytów. Czterdzieści lat to nie żaden średni wiek, tylko wiek startowy. Może już nie początkowy, ale wciąż taki, od którego wszystko można zacząć. A po czterdziestce jestem lekko, i to nieznacznie, więc nie ma się co wdawać w matematyczne obliczenia. Czterdziestkę można uznać za symbol umowny i nie dodawać jej tej koleżanki szóstki, choć się tak bardzo zaprzyjaźniły. Ale za rok już będzie siódemka, szczęśliwa siódemka, więc niech ta czterdziestka tak się do tej szatańskiej szóstki

nie przywiązuje. W średnim wieku, dobre sobie! Nigdy nie przejmowałem się tym, co średnie, zawsze stawiałem na bycie najlepszym. Średnie to brząz albo i nawet tuż za pudłem. Nikt nie chce być czwarty, lepiej w ogóle nie być. Wiadomo, człowiek przystojny, zdrowy, opalony. Papierosów, ale to zawsze coś. Też ma wpływ na karnację lub chociaż na cerę. Poza tym co to za problem? W kraju opieka zdrowotna na wysokim poziomie, białe kitle i jeszcze bielsze koperty. Generalnie czterdzieści sześć to jest całkiem nieźle. Całkiem „grejt”, jak to mówi Konrad. I tego się trzymam. Tego i portfela, bo ludzie kradną, a nigdy nie wiadomo, kto koło człowieka siedzi. Może powinien w celi, a siedzi w autobusie? Tak czy siak – „grejt”!

Boże, jakie to żalosne! Mój ojciec też nie rozumiał, co do niego mówiłem, teraz ja powtarzam zasłyszane słówka, jak jakieś novum. A to nie tak miało być. Z Goską to oczywiście była wpadka, ale nie, wtedy uznaliśmy, że nie, tak miało być. Zresztą wpadka czy nie, kochaliśmy się nad życie. A przynajmniej nad ciążę. Byliśmy ponad to. Ja to się nawet cieszyłem. Przestałem być tylko tym gnojkiem, który zbałamucił komuś córkę, zacząłem być ojcem. Gosia przyznała się potem, że też liczyła na dziecko. Nie chciała mnie na nie złapać, pępowina to nie łączy, po prostu chciała być matką. Więc można uznać, że Grzesiek był wyczekiwany, planowany, tyle że przez każde z osobna i raczej na przyszłość. Wtedy po prostu przyjęliśmy do wiadomości, że jest, jak jest. Ślub, dziecko, mieszkanie z moimi rodzicami. Tak standardowo, jak tylko standardowo być mogło.

Podobno podczas jednego wytrysku w spermie znajduje się czterdzieści milionów plemników. Gdyby z każdego z nich powstał mężczyzna, obrazowałyby to liczbę facetów, którzy mogliby opowiedzieć identyczną historię. Czterdzieści milionów mężczyzn miało dziewczyny, z którymi wpadli, które pożyły im syna, którego oni teraz nie rozumieją. Właśnie dlatego

nie zostałem pisarzem, choć marzyłem o tym jako mały chłopiec. Wielu autorów opowiada własne historie, przepuszczone przez filtry wyobraźni. Odsiewają nudne dziesiąt lat, by opisać ten jeden rok, miesiąc, tydzień lub dzień, w którym się WYDARZYŁO. U mnie niestety niewiele się działo, a jeśli już, to źle. Od opowiadania o cieniu, jaki rzuca na Ziemię górujące nad nią Słońce, są cierpiące na depresję piosenkarki rockowe. A także niekochane przez własne przytulanki późniejsze poetki, publikujące swoje dołujące tomiki w wydawnictwie Szufłada, które swoją siedzibę ma w biurku przy ulicy Lewy Kąt Pokoju. Nie chciałem być Wiktorem Mazurem, pisarzem opisującym historię, którą mogłoby światu przedstawić czterdzieści milionów innych mężczyzn. Zresztą nie oszukujmy się, to samo przeżyło nie czterdzieści milionów, a setna wielokrotność tej liczby. Co mógłbym napisać? *Mrok!* I radosna puenta: *Na dywanie krwią broczył, bredził i brodził w smutku, aż przyszło ukojenie, które włączyło w pokój żyrandol, a energooszczędna sześćdziesiątka rozbłysła światłem na końcu tunelu?* Jak widać, ani ze mnie pisarz, ani poeta. Nawet nie chce mi się o tym myśleć, a co dopiero to spisywać. Moje życie pokryło się smutkiem jak kurzem. Poszarzało i niczym niezdrowy alergen wywołuje choroby. Oczy mi od tego łzawią, a może po prostu płacę nocami, choć to podobno mniej męskie od chodzenia na wysokich obcasach. I tak zawsze chciałem być wyższy! Poza tym jestem tolerancyjny. Transseksualista, gej, nieszczęśliwy ojciec dzieciom, mąż żonie... Nie odmieńcy – po prostu odmienni.

* *

Liczba wiadomości: 3

Pierwsza: *Hej. Dasz hasło?*

Druga: *Cze. Pasyw? Dajesz dupy?*

Trzecia: *Cześć. Moje hasło to 1234. Dasz swoje?*

Dotychczas z samotnością dawałem sobie radę. Rady dawałem także innym, głównie Lenie. Na tym w kwestii obdarowywania wolałbym poprzestać. Zamiast dawać dupy, wolę dać do zrozumienia. Oczywiście nie odpisując. Byłem niedawno na drinku. I co? I niewypał. Kolejny. Mógłbym zostać saperem. Już tych moich niewybuchów nie liczę, bo od małego nie potrafię prawidłowo zapisywać dużych liczb, wciąż nie wiem, ile zer ma miliard. Dziś twierdzę, że jedno, za to gigantyczne. To nie jest przestrzeń dla nas, to raczej przestrzeń dla mas. Ludzie mają czas na dotyk, brakuje go jednak na słowo. Kto miałby czas na rozmowy o życiu, gdy jeszcze tyle do doznania? Chciałbym mieć kogo wspominać na starość. Daj mi spokój! Nie, nie odchodź, przy tobie chcę go zaznać. Potrzebuję być kochanym. Od już, w trybie pilnie natychmiastowym. Lecz nie przygarniaj, jeśli masz odepchnąć. Zakochuję się w brzydkich chłopcach, bo są ładni. Pewnie znów kupię kota w worku, by karmić go złudzeniami lub szarymi myszkami niewyróżniającymi się z tłumu. Po jakim czasie zdradzimy się po raz pierwszy? Najstarszy zawód świata to zawieść się na

kimś. Prostytuowanie się nie za pieniądze, a za chwilę uwagi, która dla tej drugiej osoby i tak okazuje się być bezwartościowa, bez znaczenia. Ale jak przyjemnie jest wierzyć! Miłość to śmierć wyrażana czułymi gestami i uniesieniami. Serce w korze wyryte nie pompuje przecież krwi. Niejedno drzewo już się w młodości poraniło...

Nadal mam wzięcie. Trzeba przyznać, że wciąż się trzymam. Nie dość, że całkiem nieźle, to ciągle swoich zasad. Długo wyglądałem bardzo młodo, w barach jeszcze długo po osiemnastce prosili mnie o dowód, błagali prawie. Lecieli na mnie sami „gejdofile”, dopiero z czasem dojrzałem do czerpania przyjemności z seksu. Z seksu, nie tylko z orgazmu. Niektórzy w chwilach smutku czy zadumy ukrywają twarz w dłoniach, ja w dłoniach ukrywam całe ciało. Cudzych. Uprawiam seks na pociechę, gdy jest mi smutno, uprawiam go, gdy jest mi wesoło, aby tą moją szczęśliwością zarazić innych. Radość weneryczna.

Nasi dziadkowie przyrzekali: póki śmierć nas nie rozłączy. My czekamy co najwyżej do rana. Póki dzień nas nie rozłączy. Już nie przyrzekamy, co najwyżej się zarzekamy: zadzwonię! Telefon milczy, wszystko pozostaje nieme, jak gdyby nic się nie wydarzyło, meteor nie pieprzył o ziemię, choć w czasie orgazmu wydawało nam się, że to właśnie ten huk słyszeliśmy tak wyraźnie. A może to tylko krew uderzyła do głowy? Tak czy siak, coś uderzyło w nasz świat na pewno. A potem cisza. Usta zasunięte jak rozporek na błyskawiczny zamek nie wypuszczą ani słowa. I telefon będzie milczał, chyba że przypomni sobie o tobie jakiś telemarketer.

Nie czuję się brudnym grzesznikiem. Orgazm jest wtedy, gdy Bóg mruga i nie widzi. Oczekuję jednak więcej. Spróbuj mnie rozkočać. Gdyby tak stworzyć z kimś małe państwo niepodległe... Państwo w państwie, taki mikro-Watykan. Poza nami nic, poza nami świat zły. Dojrzałości! Nawet nie

tyle miłości, ile stabilizacji! Miłość przyjdzie z czasem, wiadomo, że w związku nie wchodzi się z marszu. Przyjdzie z czasem lub z rozgoryczeniem pod rękę. A może przyjdzie sama i będzie czekać na to, bym ją objął, przytulił? Nie odzwyczaiłem się od łapczywej cielesności, bo względnie regularnie mam kontakt z czymś ciałem, ale trochę niepokoi mnie prawdziwie bliska bliskość. Moja skóra jest mapą pokrytą brajlem, a zatem jeśli chcesz, czytaj wprost ze mnie. Dowiesz się, czy twój dotyk jest dla mnie kojący, czy działa na moje ciało jak aloes. Teraz już wiesz, jak się czuję, wyczytujesz wszystko ze mnie, otwartą księgą jestem. Czytaj, dotykaj. Nie należy pościć, a pojąć – zrozumieć.

– Zdarzało ci się, że ktoś nie przyszedł na randkę? – zapytała mnie kiedyś Lena.

– Gorzej, zdarzyło mi się, że niestety przyszedł – odparłem.

– Uciekłeś?

– Nie. Najpierw pomyślałem: co ja teraz pocznę? Ale uznałem, że zostanę. Zero instynktu samozachowawczego.

– Co ja pocznę? Pocznij z nim syna, niech będzie zdrowy i do taty niepodobny. Któregokolwiek.

Rozumiem, że nie wszystko złoto, co się świeci, nie jestem wybredny, może być i srebro, ale trafiam wyłącznie na tombak! Niby dorośli: dwadzieścia osiem, dwadzieścia dwa, trzydzieści. Metryczka w sam raz, za to mentalnie wciąż bawią się klockami Lego, kupowanymi przez mamusię za dolary w Pe-weksie. Igły w stogu siana! Osiołkowi w żłoby dano, w jeden owies, w drugi siano. Szkoda, że siano to oni mają nie tylko w pyskach, ale i w głowie. Zasób słownictwa niewielki, a jako cięta riposta naprzemiennie „Cha, cha, cha” i „He, he, he” o różnej długości. Pytasz takiego, co robi w wolnej chwili, a on odpowiada, że bank nasienia. Wali konia w prezerwatywie i do zamrażarki. Co ja na to? Ja na to „He, he, he” i się wylogowuję.

Pierwszy: *Nic o mnie beze mnie.*

Drugi: *Chcesz wiedzieć coś o mnie – zapytaj.*

Trzeci: *Spragniony wrażeń.*

Rimming, spacing? W blasku księżycy albo w ciemni. Znajdziesz tu wszystko, do wyboru, do koloru. Murzyn, Azjata, Polak, Anglik, nawet nastoletni Grek, który zapodział się w zimnym kraju nad Wisłą najprawdopodobniej w ramach egzotycznego Erasmusa. Niewinni chłopcy i winni recydywiści. Ich ramiona, torsy, plecy, dłonie, pośladki. Kusicielski wzrok jednookiego węża na zdjęciu mężczyzny z bokserkami zsuniętymi do kolan. Czasami myślę, że, zamiast mojej matki, to ja jestem w szoku poporodowym. Niezmiennie od dwudziestu siedmiu lat. Choć te profile powoli przestają mnie zaskakiwać. Nie wiem, czy wstawianie takich zdjęć to wciąż dystans do siebie, czy już depresja i wołanie o pomoc i wsparcie. Na co drugim mięsisty, wygolony cyklop, prężący się do obiektywu, sterczący dumnie na baczność, jak podczas wysłuchiwania hymnu, któremu rytm nadaje pulsująca krew. Twarze nie są ważne, ci panowie pokazali już przecież, na co ich stać. Wewnątrzlazienkowe, skryte masturbacje. Brudzenie białą ambrozją biurka podczas zabaw przy wtórze ochów i achów z pornosa, bo porno to kino obyczajowe dla onanistów. Albo ci smutni, starzy panowie, których nie kochał nikt od tak dawna, że już zapomnieli, czego niegdyś szukali, więc teraz godzą się na wszystko. Seks, przyjaźń, za pieniądze, za chwilę, teraz albo później. Później, które przecież może nie nadejść, gdy się już człowiek zbliża do siedemdziesiątki. I penis już nie w formie, a w formalinie.

Kiedyś był ktoś.

– Cześć. Co robisz?

– Kocham cię.

- Tak od progu, jeszcze butów nie zdjąłem.
- To co? W butach też cię Kocham.
- Aha.
- Aha?
- Wypożyczyłem fajny film. Robimy popcorn?
- Aha.
- Stało się coś?
- Niekoniecznie. Ty mi powiedz.
- Znowu kot stoi ogonem w drugą stronę.
- Że niby odwracam?
- A nie?
- Aha.

Kiedy patrzę na Ciebie, wszystko we mnie wrze, krew wyparowuje z żył. Jestem jak wyspa bezludna, którą ty zaludniasz sobą w wolnej chwili, moszcząc się w moich myślach jak w gnieździe z liści, patyków i drewna wyrzucanego nie wiadomo skąd przez morze. A może ... Dziś jestem wrakiem człowieka. Czy wrakiem można w ogóle jeszcze dopłynąć do portu? Kiedyś był ktoś. Obym znów miał łut szczęścia. Albo nie, chcę mieć szczęście mierzone w kilogramach, nie w lutach. Dziesięć kilo na wynos poproszę.

Wracając do swojego mieszkania, napisał, że kocha. Jeszcze z autobusu. Pewnie usiadł i nie wiedział, co zrobić z myślami. A właściwie z dłońmi, ni to wsadzić je w kieszenie, ni złożyć na kolanach. Zaczął więc błdzić kciukiem po klawiszach, by zająć czymś palce, by zająć czymś myśli. Ich nie mógł upchnąć w kieszeniach. Kiedy ktoś kocha cię wprost i bez ogródek, nie można już tak samo patrzeć przez szybę na miasto. To jest już wasze miasto. Mijany blok, kolejne przystanki, sklepy, nawet kosze na śmieci są elementem wspólnego życia. Przysłał więc krótkie „K.C.”. Może było tego więcej, lecz zostało skasowane przed wysłaniem, a może po prostu kochał od niechcenia.

Nie była ważna forma, liczyła się treść. Daleś mi dwie litery, obiecałeś, daleś słowo, a słowem tym „miłość”. Wtedy byłem pewien, że ta fascynacja nie minie. Dziwiłem się znudzonym sobą parom. Trochę mi tu z tobą nudno jest, trochę bardziej, niż ci się wydaje, ale skoro już jakoś jest, może lepiej, niech tak będzie dalej? Bawiły mnie pary, które zamiast na spacer wolały iść na taki kompromis.

Niewiele masz, a ja mam jeszcze mniej, lecz razem mamy wszystko. Ufałem, wierzyłem ci, wierzyłem w nas jak w bóstwa, których się ziemskie przypadłości nie imają. Mam umysł z waty, chłonny, ale delikatny. Wszystko w nim było bezpieczne, zamortyzowane, poowijane tą watą. Myślałem tylko o nas i w tych moich myślach nic nie mogło się nam stać. Niewiele jesteś w stanie mi dać, lecz wezmę wszystko, co do słowa, i pozawijam w gazety, folie, watę i serwetki, by nie uszkodzić żadnej z liter, gdy będziemy się przeprowadzać za granicę wytrzymałości. Za chlebem słów, co krzepią, za tymi dobrami, za lepszym życiem. Bo przecież przychodzi taka chwila, gdy ciała nie wytrzymują bliskości, która jest zbyt upośledzona, daleka, wówczas stają się jednością. Niepokalane poczęcie. Rodzimy się my z nieskalanych fałszem obietnic. Skąd miałem wiedzieć, że przychodzimy, by odejść, rodzimy się, by umrzeć? Byłem nas pewien. Razem aż do końca. Po co ci świat, w którym nie ma mnie? Kiedyś zgasnę i trzeba będzie poznać odpowiedzi na wszystkie straszne pytania o samotność. Oczywiście było, że jeśli odejdę, to wyłącznie duszą od ciała, nie ciałem od niego. Uwierzyłem słowom, które mówi się po to, by osiągnąć cel.

– Mój. – Wierzyłem.

– Tak, twój – powiedziałaś i nawet ci powieka nie drgnęła.

Wiara, nadzieja, miłość – jedyne cnoty, które pozostały mi po młodzięcym okresie szaleństw. Ale ty także z niejednego pieca chleb jadłeś. Dopiero później odkryłem, jaki byłeś

nienażarty. Dla mnie w łóżku troje to już tłok, a czworo to tłum i zbiorowa impreza ze stroboskopem i kolorofonem. Wolę domówki w małym gronie. Sypiałeś z kim popadnie, akurat w tamtym okresie popadło ze mną. A ja popadłem w długi, oj, długi był mój okres dochodzenia do siebie. Nie ma drogi wstecz, wszystkie mosty płoną. Nie ugasisz ich, podobnie jak pragnień, które doprowadziły cię na rzeki drugi brzeg. Nie potrafisz tęsknić do miłości, bo ona za szybko powszednieje, a przecież ciekawsze jest to, co nieodkryte. Byłem nowością, ciekawostką, ale nikt nie jest na tyle skomplikowany, by zatrzymać cię na dłużej. Każda zagadka wcześniej czy później zostaje rozwiązana. Nie umiem być tym, czego oczekujesz. Mieliśmy być razem na zawsze, nikt mnie nie uprzedził, że „zawsze” trwa tak krótko. Przez chwilę myślałem, że ocalimy przyjaźń. Zrozumiałem jednak, że nie możesz stać się kimś ważnym, bo już byłeś najważniejszy. Zyskałem dzięki tobie tyle cierpienia, przyjdzie nam się z tego rozliczyć. Od bólu nie ma ulgi podatkowej.

Lecz póki co to niesforne, nieszczęsne „K.C.” – tak wiele zapisane tak niepozornie. Przyznaję, to miniaturowy minimalizm, ale i moja wiara w nas była jak ziarnko gorczycy. Jednak coś było nie tak, skoro nie potrafiłeś kochać mnie prosto w twarz. Ja kochałem, ale czułem, że to wszystko jest stabilne jak lód na wiosnę. Już wtedy czułem, jakby się dobro ze złem pozamieniało na role. Motyle skryły się do kokonu żołądka. Cieszyłem się z wyznania miłości, a jednocześnie gdzieś w fałdach brzucha, gdzie kryją się tęczowe stworzenia, czułem niesmak zamiast przyjemnego łaskotania skrzydełek. Łudziłem się, że może wystarczy to w sobie jakoś przetrwać. Niebawem jednak zniknę z twojego życia, choć jeszcze tego nie wiem, a może jednak przeczuwam? Jeszcze tylko ty mnie rzucisz, ja się skończę... Niedługo, ale to przecież jeszcze wciąż przed nami. Na dnie serca ukryłem wszystko, czego nie rozumiem,

więc czuję, gdy nie chcę ogarniać tego myślą. Na razie też cię kocham, biorę, co dajesz, bez głębszego zastanowienia, pomysłu potem.

Nad pożegnalnym SMS-em wysilił się już bardziej. Serce zabiło mocniej z zimną krwią. W innej czasoprzestrzeni umierało właśnie to, co rodziło się między nami. „Koniec” to słowo ostateczne, mocniejsze od śmierci, bo po nim nie należy spodziewać się już nawet życia pozagrobowego. Było o różnicach charakteru i o żalu, że musi odejść. Podobno musiał sobie wiele rzeczy poukładać. Nie obchodziło mnie, czy w życiu, czy na półkach, wierzyłem, że gdy już poustawia tak, jak chce, wróci do mnie. Nie wrócił. Nie odnalazł się w tym związku. Ja doskonale wiedziałem, gdzie się znajduje, nie musiałem go szukać. Przycupnął w sercu tuż za prawą komorą. Do dziś wywołuje arytmie, choć wmawiam sobie, że już go tam nie ma. Trzeba przyznać, że taka asertywność to wielki wyczyn. Umieć powiedzieć „nie” i zacząć od nowa. Choć ciepło kusi. Pachnie znajomo, rozczula, wzrusza, daje poczucie bezpieczeństwa. Do ciepła się człowiek uśmiecha, bo ciepło jest puchate i przyjazne, jak kołdra nad ranem. I jak tu się nie przytulić? Chłód to niebezpieczeństwo, jednak niebezpieczeństwo to przygoda, więc zostawił ciepło, by ruszyć w świat, ku nowym przeżyciom. Moją śmierć oddam w ręce tego, kto obieca mi wspólne życie i nie dotrzyma słowa ni towarzystwa na starość. Nie przeżyję kolejnego odrzucenia.

Ja zasypiałem z poczuciem krzywdy, ktoś inny zasypiał z nim. Dotykał go, bo on tego chciał, tym samym ktoś obcy gwałcił mnie, bo ja nie chciałem tego dotyku na nim. Mógł powiedzieć mi wszystko szczerze, w końcu niczego prócz mnie nie miał do stracenia. Mógł spoglądać na rzęsy, milczeć, liczyć je, jedną po drugiej. Nie mógł spojrzeć mi w oczy. Mógł więc skupić się na ustach, nosie, brwiach, byle spojrzal na mnie, byle powiedział mi to w twarz. Nie, on wołał rzucić

to w przestrzeń, w próżnię, niech biegnie po łączach, byle dalej od niego. Nas już nawet te łącza nie łączą. Nikt nie kochał mnie tak, jak nie kochałeś mnie ty. Myślałem, że to trzepot skrzydeł anioła, a to tylko szuranie nogami. I znów drżące dłonie, znów terażniejsza przeszłość.

Cierpienie jest takie masowe, takie popularne, zawsze na czasie. Słucham dołującego popu i rozpamiętuję. To takie pospolite, piosenkarka, o której za dwa lata nikt nawet nie będzie pamiętał, wyraża moje uczucia. Ona też życzy ci samotności. Jak to jest, że zawsze, gdy tego potrzebujemy, znajdzie się jakaś piosenka, która oddaje dokładnie to, co właśnie przeżywamy? Muzyka to enigma, szyfruje nasze emocje. Mogłeś cokolwiek, więc dlaczego zechciałeś móc mnie? Mijają nie miesiące, a lata. Mija nie czas, a wieczność. I tak trudno zapomnieć o tobie, choć niektóre wspomnienia znikają. Gdyby człowiek w trakcie tych chwil wiedział, jak bardzo są istotne! Ostatni pocałunek ukochanego. Nie wiedziałem, że całuję po raz ostatni, to przecież taki drobiazg. Nie pamiętam tego. Być może kochałem po raz ostatni. Chciałbym nie pamiętać, ale to już nie drobnostka. Słowo „miłość” jest bardziej sfatygowane od tych niebieskich dzinsów, w których zobaczyłem cię pamiętnego środowego wieczoru po raz pierwszy. Dorosli nie mogą korzystać z przywilejów dzieciństwa. Mam sporą bliznę na policzku, ale rozciąłem go sobie, gdy byłem tak mały, że tę historię znam tylko z opowieści rodziców. Pamiętam tylko ból. Mam bliznę w sercu, ale byłem już zbyt duży, by o tym kiedykolwiek zapomnieć. Zostawiła brzydki ślad. Do twarzy mi z bólem. Chciałbym pamiętać cię jak przez mgłę, a pamiętam jak przez niezmaconą wodę. Błagam, moim bliskim bądź. Bądź bądź mi wystarczająco dalekim, byś nie był mi tak bliski. Jesteśmy na rozstaju dróg, na rozstaniu naszych spojrzeń. Jestem taki dobry, przytul mnie, do rany mnie przyłóż.

Pewnie z czasem pojawi się ktoś. Znam życie nie tylko z widzenia. Znamy się osobiście, ba, jesteśmy w zażyłych relacjach. Znając życie, mogę więc stwierdzić, że nie da się niczego przewidzieć. Tylko ta świadomość z tyłu głowy, że przecież już nic nie jest na zawsze. Twoje spojrzenie dawno straciło kolagen, zwiotczało, nie patrzyłeś już na mnie jak kiedyś.

Na co komu nowy dzień, skoro we wspomnieniach tyle dni? Można nimi żyć, one bardziej już nie skrzywdzą. Z tobą czy bez ciebie, w tłusty czwartek pączki nadal smakują różami, na cholere mi więc te bukiety, co to mi ich i tak nigdy nie dawałeś? Wiecheć uschniętych wspomnień, a przecież nawet nie było romantycznie! Nie chcę więcej bać się o jutro. Nie chcę też bać się o wczoraj, o to, że moje przeżycia nie były tym, za co je brałam. Czyżby twoja miłość była tylko tym, co chciałem usłyszeć? Czasami z twoich ust padało to bolesne „On” i wówczas wiedziałem, że choćbym był ostatnim, zawsze będę któryś. Ołtarze wspomnień... Oczy masz po matce – Matce Boskiej. Ty – mój bóg, mój cud, zbawienie, wybawienie i łaska. Nie modlę się już do ciebie, nie wyznaję tej wiary, bo wyznałem się na tobie, poznałem, z kim mam do czynienia. Gdyby istniał bóg, nie istniałbyś ty, stwórca nie mógłby być tak okrutny. Kiedy przyjdzie po mnie śmierć, wyślę ją do ciebie, mam prawo czuć ten gniew, to jedyne, czego mi nie odbierzesz. Zapominam wyciągnąć pranie z pralki, kupić mleko, dlaczego tak łatwo nie mogę zapomnieć o tobie? Jest dla ciebie nikim, póki się nie poznać. Znów staje się nikim, gdy złamie ci serce. Byłem za słabej konstrukcji psychicznej na związek. Każdy por, każde najmniejsze rozszerzone naczynie krwionośne pąsowiejące niegdyś na policzku zamyka się teraz na ciebie. Teraz, ale wtedy czegoż mogłem chcieć więcej? Mężczyzna radosny, promienny, obcowanie z którym musiało skończyć się tragicznie. Cierpiałem więc na chorobę popromienną, lecz dziś już po wszystkim. Mam w sobie tyle

wewnętrznego blasku, że ćmy obsiadają w nocy moje ciało, tworząc swoisty pancerz ze skrzydeł. Nie potrzebuję ciebie, sam promienieję.

Skoro kurz to głównie ludzki naskórek, gdybym od chwili twojego trzaśnięcia drzwiami nie sprzątał, mógłbym czuć się tak, jak gdybyś wciąż mnie dotykał. Naszą rocznicę powinniśmy obchodzić pierwszego kwietnia. Naobiecował, zabrał się i zniknął. Byłem z nim dla uczuć, on ze mną dla żartu. Dwa dni, dwa tygodnie, dwa miesiące, dwa lata... Takie rzeczy są niezależne od czasu. Czasem jednak trzeba posprzątać, uporządkować. Przychodzi taki czas, gdy złe emocje, żale i bolesne wspomnienia należy sprzedać na garażowej wyprzedaży. Pozbyć się ich, powyciągać z szaf, szuflad, pudeł i mózgu, może komuś przydadzą się bardziej. Opowiadałem więc swoją historię przyjaciółom. Wysłuchali, przygarnęli, pokochali jak własną. Może nauczą się czegoś na moich błędach. Choć to tak banalne. Siedziałem w towarzystwie kawy, papierosów, Leny i paru innych biernych palaczy i opowiadałem.

– Dlaczego on mnie nie kochał? – żaliłem się. – Gdzie był pieprzony Kupidyn, gdy trzeba go było ustrzelić? Tylko mnie trafiło! A teraz trafia mnie szlag. Dziś, jak dla mnie, mógłby go nawet postrzelić, niech zdycha.

– Strzała Amora trafia w jedną osobę, bo Amor jest tylko jeden i tylko jedną strzałą celuje w jeden cel. Chyba że miałby dwie kusze plus lekkiego zeza, to może, ale jednak patrzy wprost – zastanawiała się Lena.

– Byli sobie on i on. Onegdaj. Jeszcze tak niedawno, bo zaledwie przedwczoraj. Kurwa! – Poczulem, jak gdyby w efekcie jakiejś mutacji każdej z moich komórek wykształciło się osobne bijące serce. Wszystkie pękły nagle. Ogromny, wszechogarniający smutek. A wskazówki jak gdyby nigdy nic posuwały się leniwie po tarczy zegara. Mniejsza próbowała dogonić większą. Udało jej się to o północy i czarne kreski

pokryły się w niemal seksualnym akcie. Czas mijał. Leniwie, bez pośpiechu i empatii rozglądał się za apteczką pierwszej pomocy, by móc zacząć leczyć rany. Śmierć można przeżyć. Oczywiście pod warunkiem, że nie jest własną śmiercią. A co z moim bólem? Czy śmiertelne odejście od tego różni się tylko skalą zjawiska, rodzajem bólu? Coś umarło przecież na zawsze. Jestem w żałobie. Nie dostrzegam dobra, na oczach mam czarny woal smutku.

– Mówiłam ci, że do facetów nie można się przyzwyczajać. Facet jak dobry film, zawsze kończy się łzami.

– Do mnie można! Czy ja dużo od życia oczekuję? Chcę takiego „papuga nierozłączka”, on powinien zdechnąć, gdy mnie straci! Nie, nie straci – zostawi. Bądźmy szczerzy.

– Skarbie, na razie zaliczyłeś end, na happy jeszcze przyjdzie czas – stwierdziła Jolka, nonszalancko wymachując papierosem. Byłby z niej świetny gej: kręcą ją faceci, ma zwichnięte nadgarstki i umie się ubrać, nie tylko przebrać za kobietę.

Kolejny łyk piwa. Cisza. Co mówić w takiej sytuacji? Powszechnie wiadomo, że rzucający to drań, o którym należy zapomnieć. Na pewno zdradzał, a jak nie, toby zaczął. A jeśli by nie zaczął, to myślałby o tym. To jeszcze gorzej, bo mógł zdradzać co chwilę. Rano z brunetem, wieczorem z blondynem, po kolacji po bożemu z Piotrem, a tuż przed snem z łysym dresem spod bloku. I wszyscy oni chętni, spragnieni jego dotyku, zwarci i gotowi. Biedny Piotrek, przecież mógł być zmęczony, zestresowany, nie mieć ochoty. A łysol czynny całą dobę. Prosty, instynktowny, niemal zwierzęcy, ogolony umysł.

– Czy my musimy siedzieć w tym smrodzie? – oburzyła się Kaśka, chcąc przerwać milczenie.

– Ja tam lubię się podtruwać dymem, chociaż odrobinę targnąć się na życie. Mogę wypełniać się dymem i chociaż na chwilę nie czuć pustki – oznajmiłem.

– Popieram, musimy! Papieros to moja joga na skrót – odparła Jolka. – Nie mógł się odnaleźć? Co on się mapy spodziewał?

– Nie wiem, mogłem narysować. Albo list napisać. Może byłem za mało romantyczny? I dziwić się, że mnie wyeksmitował z naszego związku!

– List to możesz do siebie napisać. Sobie jesteś winien uczucia, empatię. To ty jesteś ten pokrzywdzony. Słowo na niedzielę: egocentryzm! Skup się wreszcie na sobie – stwierdziła Jolka, zaciągając się papierosem, by uczcić puentę.

– List do samego siebie? Niegłupie – podchwyciła Lena. – Też bym do siebie napisała. Do tej, powiedzmy, siedemnastoletniej. Ilu błędów mogłabym uniknąć!

– No właśnie... uniknąć. A może bez nich nie byłabyś sobą? Zamknęłabyś się w mieszkaniu w obawie, że wydarzy się to złe opisywane w liście. Zamiast to przeżyć, w ogóle byś już nie żyła. Ja tam nie żałuję, że poznałam tych wszystkich dupków. Dobrze mi tak. Zresztą z perspektywy czasu nawet największy dupek wydaje się co najwyżej spryszczonym pośladkiem, półdupkiem. Mglistym wspomnieniem z okresu pokwitania. Zapomniałam o nich po latach, jak o problemach z cerą. Coś przypadkiem się wydarzało, szło nie tak i kończył się pseudozwiązek. Odmieniam się przez te przypadki, gdyby nie tamte sytuacje, nie zmieniałabym się, nie ewoluowałabym. Życie... Zmieniam się. Nie na lepsze, na inne.

– Oj, przecież nie napisałabym „Umów się z Zenkiem, nie z Mateuszem, bo Zenek przepoczwarzy się w mężczyźnę, a Mateusz na zawsze pozostanie larwą”. Zresztą może teraz Zenka przeklinałabym tak samo jak Mateusza i chciała go oblać kwasem. Niekoniecznie foliowym. Mam już obie ręce obojętne, nie chciałabym dotykać żadnego z nich. Zresztą nie daję drugiej szansy, pierwsza jest już oznaką mojej łaski. Co do życia osobistego, to nie posiadam.

– Ja też nie napisałabym: „Nie umawiaj się z Łukaszem”, tylko: „Bądź bardziej czujny”. Może wtedy wyłapałbym znaki, które wyjaśniłyby wszystko wcześniej. Bez dramatu, ciotodramy. Czasami wystarczy zrobić krok, aby pójść w niewłaściwą stronę.

– Ja napisałabym sobie: „Nie rozpaczaj na podłodze w pokoju, że nie jedziesz na studia za granicę. Nie otaczaj się truchłami zużytych chusteczek. W Krakowie poznasz ludzi, dzięki którym zaczniesz stare życie w nowej odsłonie”. Wybaczcie, ale nie wierzę w ciągle zaczynanie od początku, tak jakby nie było przeszłości. Kocham was, ale mam swój bagaż. Nie po to pakowałam tę walizkę tyle lat, by ukochane bluzki, buty i spodnie zostawić w szafie na mazowieckiej wsi. Nigdy nie byliście nowym początkiem, ale jesteście wspaniałą kontynuacją.

– Do usług. – Uśmiechnęła się Lena. – U siebie dopisałam, że nie warto przejmować się awanturami w domu, bo rozwód odmieni życie matki. Przecież nie wszystko, co bym pisała, przekonywałoby mnie do tego, że najlepiej zamknąć się w domu i zaciągnąć rolety w oknach, aż po parkiet. Wiele rzeczy kazałabym sobie zrobić. Dziś wiem, że strach ma wielkie oczy, równie duże jak moje. Nie należy się nas bać. Zresztą matka zawsze powtarzała, że mysz czy pająk boją się mnie bardziej niż ja ich. Mam podobnie. Ludzie mylnie brali moje wycofanie za wywyższanie się. Myślą, że jestem nieczuła i zimna.

– Po prostu drętwa!

– Gorzej, drewniana! Ktoś ważny tak mnie kiedyś określił, jakbym była zupełnie bez emocji. Na potwierdzenie tej teorii oczywiście się popłakałam, ale zdania chyba nie zmienił. Ja jestem złożona, a nie skomplikowana. To zaleta, nie wada. Nie jestem martwa, to tylko strach, sposób obrony jak u oposów. Drewniana, dobre sobie!

– Gepetto udowodnił, że nawet drewno można pokochać.
– Już się nie boję tak jak kiedyś. Mogę być drzewem, byłbym nie była kamieniem. Jeszcze kiedyś zaowocuję! Powoli uczę się, że wszystko się jakoś w życiu samo układa. Kupujmy dzieciom klocki i oduczajmy panikowania. Nie ma się czego bać. Niestety nie poszłam wcześniej tą drogą, nie jestem odważna, jestem prawdziwie nieodporną. Z naiwności wyrasta się jak ze starych ubrań. Niestety nie każdy zakłada wtedy grubo pancerz zamiast dawnego swetra.

– I dobrze. Z opancerzonymi nikt nie chce się zadawać. Pająki mają chitynowe pancerze, a jakoś im to przyjaciół nie przysparza. I też się ciebie przecież boją. Przypomnij sobie tych wszystkich gruboskórnych. Masz ochotę być z nimi blisko? My cię wolimy taką miękką. Tu i tu, i tu ... – Dźgałem ją lekko, zatapiając palec w ciele. – Ja napisałbym: „Zero facetów do odwołania!” i więcej bym do siebie nie pisał, żeby mi do głowy nie przyszło wycofać się z tego nakazu.

– Drink najlepszym przyjacielem kobiety. Powinniśmy się upić! Ty zwłaszcza – zawyrokowała Patrycja.

– Drink to uniseks – poprawiła ją Jolka.

– Uniseks, ale metroseksualny. Bieźmy do baru! Podążajcie za gwiazdą! Wiadomo, za mną!

– Może wróci? – zastanawiałem się parę drinków później. Gdy dzieci są małe, bawią się w głuchy telefon. Pierwsze coś mówi, na końcu informacja dociera do ostatniego. Z wiekiem słowa stają się coraz mniej konkretne, obietnice coraz mniej trwale, upłynniają się. Pozostaje się upić. Pierwszy coś polewa, kieliszek dociera do ostatniego. Rezultat jest taki sam – bełkot. Prawda też dociera na końcu do ostatniego. Wszyscy prócz mnie od dawna wiedzieli, że nic z tego nie będzie.

– Raczej nie wróci.

– Po prostu już mu się nie podobam.

– Świetnie wyglądasz i nie kombinuj. Powtarzanie komuś atrakcyjnemu, że jest ładny, jest nudne i mało rozwijające mój intelekt. Ja rozumiem ... krzyżówki, roszady, kalambury... ale nie przekonywanie kogoś o oczywistościach.

– W takim razie to jakaś pomyłka. Wróci – upierałem się.

– Oho, wchodzimy w pierwszy etap żałoby po porzuceniu.

– Liczyłam na to, że ominiemy szerokim łukiem zaprzeczanie i przejdziemy od razu do gniewu, ale widzę, że wolisz nie omijać kłopotów, a temu łukowi bliżej do Wilhelma Tella niż świętego spokoju. Ktoś skoczy po jabłko i strzałę? A nuż nie trafię i uwolnię cię od męki.

– Oj, przestań, przecież wiem, że lepiej byłoby nie rozpałmiętywać, masz mnie za tumana?

– Tak, kurzu! Piotruś, nie martw się, wszystko będzie dobrze. Świat stoi przed nami potworem, ale kiedyś go oswoimy, jeszcze da się pogłaskać.

– Mój świat stoi przede mną otworem. O, widzisz, jak się wypina?! Nie dość, że jest pasywny, to jeszcze ma mnie w dupie. Tak samo jak mój były. Co tylko potwierdza, że był dla mnie całym światem.

– Piotruś, wiem, że ci ciężko, ale to koniec. Ostatecznie. Tak będzie dla ciebie lepiej, ale pewnie odkryjesz to z czasem.

– Ostatecznie? Do wyboru tylko początek i koniec? Jak tak, to tak, jak nie, to nie? Białe jest białe, czarne jest czarne. Czy to przypadkiem nie rasizm? Białe zęby dla białych ludzi, czarne pieprzyki i rak skóry dla Murzynów? A szara, ziemista cera dla biednych i źle odżywionych gdzie? Ja się domagam odcieni szarości, choćby szare, nijakie i na siłę miałyby być to nasze powrotne razem! Coś przecież musi być pomiędzy! Każdy po rozstaniu zabierał sobie część mnie. Teraz jest mnie tylko trzy czwarte. On musi wrócić, oddać mi mnie. Oni wszyscy twierdzili, że potrafią mnie ochronić. Przed sobą nie umieli. Zawsze mam tę obawę, że wsiadłem

do złego tramwaju albo jadę w złym kierunku. Z życiem mam tak samo. Znow pomyliłem drogę, pomyliłem osobę. I „My” to teraz już tylko ciąg dalszy, który nie nastąpił.

Pamięć jak dziki zwierz wyskoczyła z klatki. Spółka z zoo, gdzie odpowiedzialność została ograniczona, a wszędzie powywieszano tabliczki: „Prosimy nie karmić wspomnień”. Czy koniec w ogóle może być szczęśliwy? BoyfriEND... The end. Nie wrócił. Brakująca część mnie odrosła. A może tylko pustka zasklepiła się, zablizniła, pozostawiając w ciele pokiereszowaną wnękę? Sam nie wiem. Na szczęście duszy nie widać ani gołym okiem, ani dotykiem, nagim ciałem. Tylko nagiej prawdzie ładnie we własnej skórze.

– Za mgłą jestem. Lub w niej – wyszeptalem do Leny tamtego wieczoru, zamroczony piwem, łzami, smutkiem, nikotyną, żalem, dymem i tym wszystkim, co mrok jest w stanie ukazać człowiekowi, uchylając swe podwoje.

– Przejaśni się niebawem.

– Czuję się pusto i nie wiem, co dalej.

– Dalej jest „dalej”. Rozumiesz? Może nawet trochę dalej, niż nam się wydaje. „Dalej” nie jest ani teraz, ani za trzy dni, ani nawet za tydzień. „Dalej” jest daleko i zanim zaczniemy się nim przejmować, najpierw zrozumiemy, że naprawdę jesteście tej oddali ciekawi. Wtedy po prostu naturalnie będziemy na nią gotowi.

* * *

Dzień dobry, wszyscy umrzemy. Znacznie trudniej żyć, kiedy nie ma po co. Czasami świat bywa okropny, a za oknem korozja rzeczywistości. Na ziemię spadają kwaśne deszcze, bo Bóg lekko nie trzyma moczu. Mam siebie dość, świata zacząłem mieć dosyć już dosyć dawno. Nawet w swojej niechęci do siebie nie jestem wyjątkowy, bo przecież oni też czasem mają siebie dość. Każdy raz na jakiś czas bywa tym onym. A ja nie chcę być lasem, tłumem. Chcę być drzewem, jednostką. Dębem, co to go ani deszcz, ani wiatr, ani grzmot. Co najwyżej siekiera, inni ludzie...

Ponad ćwierć wieku temu przepchałem głowę przez wargi sromowe mojej matki, szkoda, że dotychczas to moje największe życiowe osiągnięcie. Jestem krępy, niski i mam odstające uszy. Wyglądałem jak elf urodzony po tym, jak chmura z Czarnobyli dotarła nad biegun północny. Siedząc na krześle przy stole, nigdy nie miałem styczności z podłożem i stale majtałem nogami. Do dziś jestem taki nieuziemiony. Hobby? Jedzenie węglowodanów. Całe życie czułem się niegodnym bycia nawet statystą w filmie nakręconym na motywach mojej autobiografii. To nudny film, szkoda byłoby mi na bilet do kina. Może kiedyś ewentualnie wyemituje go jakaś telewizja, bo jest tańszy niż emisja ekranu kontrolnego. Ekran kontrolny to fantom tęczy, na krańcu której wszyscy wypatrują garnca ze złotem. Niestety po zgaszeniu telewizora nie pozostaje nic prócz szklanej czerni. Równie puste jest moje

życie, równie nijaki jest mój film. Stoję sobie gdzieś z boku, a wszystko inne dzieje się na pierwszym planie. I nawet nie dostanę Złotej Maliny za najgorszą grę aktorską, bo moje nazwisko nie pojawia się w napisach końcowych. Wszyscy mają mnie za dziwaka. Dziwny niczym narkoleptyk potrzebujący tabletek nasennych. Wiadomo, że coś tu nie gra, nie pomaga nawet włączenie radia. Dźwięki w tle stanowią tylko soundtrack filmu katastroficznego. Bezsensowność miesza się z bezsenssem. Patrzą i myślą, że lepiej byłoby, gdyby matka poroniła mnie w pierwszym trymestrze ciąży. Tak, wiem, że mam aparację chłopca z filmów familijnych, tego, któremu nic nigdy nie wychodzi i potyka się o sznurówki, nawet wtedy, gdy na nogach ma buty na rzepy.

Czasami czuję, że ja to tylko czyjś fantazmat. Myślę, że mnie nie ma. Jestem, jakby mnie w ogóle nie było. Wszystkie postaci są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do zdarzeń lub osób jest całkowicie przypadkowe. Generalnie obraz nędzy, jak również rozpacz. A przecież wystarczy zamknąć oczy, tak łatwo stoczyć się w ciemność, nicość. Gdyby jeszcze zatkać uszy i nie słyszeć komentarzy. Tylko ten cholerny młoteczek, on wbija mi ćwieka! I to pieprzone kowadelko. Co ja mogę wykuć? Już dawno przestałem być kowalem swojego losu. Już nie chcę słyszeć, jak mało znaczę. Poczucie własnej wartości? Czulem swoją wartość, gdy w podstawówce dostawałem kopy od kumpli. Oj, czulem! Promieniowała bólem od pośladków, a czasami od epicentrum, gdy kopniak trafił z przodu. Przemoc? Jaka tam przemoc?! Kumplostwo!

Jak każdy przeciętny zjadacz pasztetu nie lubię jeździć autobusami, ale to akurat norma. Nie lubi się przecież wyrzucania śmieci, teściowych, flaków wyłaniających się z człowieka w efekcie wypadku, a jeszcze bardziej tych na obiad, kalesonów noszonych w zimie, choć pewnie noszonych w lecie nie lubiłoby się znacznie bardziej. Nie lubi się także, kiedy majtki

wrzynają się w tyłek, chyba że jest to tyłek cudzy i ładny. Z naciskiem na cudzy. No i, o czym już było, jeżdżenia autobusami. Teraz, gdy za oknem ciepło, jest całkiem znośnie. Na wiosnę bywa nawet miło. Do lata, kiedy to derma gorącą powierzchnią będzie się zespalać z przepoconą na plecach koszulką, jeszcze czas. Tułowie z marmuru paryskiego, opalenizna „na Wenus z Milo”, bo tak się niefortunnie rękawy podciągnęły. Gorąc taki, że oczy wysychają na wiór, choć chcesz bezustannym mruganiem osłonić gałki przed słońcem. Wyparowują zupełnie, ale jest ci to obojętne. I tak już wcześniej nic nie widziałeś, bo gdziekolwiek spojrzaleś, patrzyłeś pod słońce. Najchętniej zamiast powiek zainstalowałbyś sobie duże zakrętki, by w pustych oczodołach móc magazynować wodę. Jednak najbardziej nie lubię zimy. Zaparowane szyby. Wyjścia ewakuacyjne zbijane młotkiem w razie kraksy. Tyle że na zewnątrz tak zimno, że się wychodzić nie chce i nawet po wypadku nikt nie czuje takiej potrzeby. Oddechy współpasażerów, ślina skraplająca się na szybach. Czuję się zmacany, bo wszyscy ocierają się o siebie, perwersyjnie chuchając sobie w karki. Zajmują więcej miejsca niż zazwyczaj, bo grube kurtki, bo płaszcze. Tłum i tłumiona niechęć do wszystkich, nikt przecież nie lubi czuć się osaczony. Kobiety po pięćdziesiątce niczym stado yeti ubrane w te swoje długowłose białe futra, kupowane po trzy złote za kilo, bo w piątki wyprzedaż towaru. Starsi panowie bez wyglądu, charakteru, pieniędzy i perspektyw. Bez wyrazu. Choćby jednego, wypowiedzianego dawno, ale jednak. Za to z żonami lubiącymi tembr własnego głosu, wydobywającymi go bez ustanku z obwisłych szyj. Lekarze przestrzegają: monologowa nadczynność gorsza od nadczynności tarczycy! No i cwaniaczki, co to stale tylko „kurwa”, „idź w chu”, „ja pierdolę”. Ale w domu ciągle grzecznie odrabiający zadania domowe z polskiego i „homeworki” z angielskiego. Sam jeszcze kilka lat temu byłem jednym z nich. Tajniackie przeglądanie

świerszczyków ojca, budzenie się z wilgotnym, ospermionym kroczem w okresie dojrzewania, a konkretniej dojrzewania do roli mężczyzny. Niestety wciąż nie czuję się gotów. W liceum upijanie się tanim piwem, jakieś fajki, no i przede wszystkim pryszczki. Staralem się o nic nie opierać plecami, bo słyszałem, jak strzelały niczym popcorn albo bąbelkowa folia po nagnieceniu pęcherzyków powietrza. A jako dziecko zazdrościłem ich bratu. Wypryski to przecież przedsmak dowodu osobistego, legalnego kupowania piwa, dorosłości.

Mam brata, ojca i matkę. A raczej mam matkę, potem długo, długo nic, brata i ojca. Gdyby ktoś kiedyś chciał stworzyć patchworkową, scaloną z różnych skrawków rodzinę, z pewnością nie wykorzystałby tych materiałów. Jesteśmy zbyt różni, by móc stanowić jedność. Mama jest osobą toksyczną. Nie ma, co prawda, na czole naklejki z trupią czaszką, ale i bez znaków ostrzegawczych jest to dosyć oczywiste. Kocham ją, ale cicho sza, bo jeszcze usłyszysz i zaczniesz się domagać wyjaśnień. Lubię, gdy czasem po kolacji zaczyna snuć opowieści o swoich uczniach. Po, bo w trakcie jedzenia się nie rozmawia, w trakcie jedzenia się posila. Zawsze lubiła mieć wpływ. Na mnie, Ignacego, wychowanków, na ojca. Zresztą ojciec jest i był tylko tłem, ale to przecież nic złego. Nawet najpiękniejszy obraz bez tła zionąłby pustką. Zatem ojciec to uzupełnienie, wypełniacz. Wypełnia pozostałą przestrzeń i jej polecenia. Nigdy się jej nie sprzeciwia, ale – bądźmy szczerzy – dla własnej wygody. Nie wychyla się w żadną ze stron, by nie musieć podejmować decyzji, działać, żyć. Ani nie przeszkadza, ani nie pomaga, jest „łatwo-bierny”, swoistą odmianą łatwowierności. Ufa jej i woli się nie wtrącać. Może z raz w życiu odważył się narobić jej wstydu, a i to już po powrocie do domu. Upił się gdzieś czy coś. Zresztą pamiętam jak przez mgłę, gdy leżał niedysponowany, kompletnie nieczynny na podłodze w korytarzu, na pięttrze. Wracali z jakiejś imprezy – z imienin

u ciotki czy innej pierwszej komunii. Bezalkoholowej przecież, jak obyczaj nakazuje, z bunkrowaniem pod stołem, bez dziewięcioletnich świadków. Upadł, a może przycupnął, i już tak usnął. Ojczyzna miała swojego Ojca Świętego, my mieliśmy ojca śniętego, kompletnie nieżywego. Matka nie zniosła tej zniewagi, jego zresztą też nie zniosła, pozwoliła mu zostać na górze wśród własnych wymiocin i tych ohydnych filcowych chodniczków, wyciętych w kształcie stóp. Nie wiem, co wstrętniejsze. Z perspektywy czasu chyba chodniki oceniam jako bardziej traumatyczne.

Przed wszystkim mnie zawsze przestrzegała. Od używania telefonu w czasie burzy, do picia gazowanych napojów. Wiadomo, patologiczna nadopiekuńczość matek nieśmiałych chłopców, zamkniętych w sobie masturbatorów, ukrytych na czacie za nickami ON19cm czy FAJNY24. Lękiem napawało mnie przez lata wszystko, nawet komunikacja miejska. Przed dworcami też mnie przestrzegała. Choć pewnie łatwiej byłoby wymienić, przed czym nie. Dworce są złe, bo kręcą się po nich Cyganie. Nie żeby miała coś do Cyganów, ale uważaj, synuś, uważaj. Wychować można każdego, nawet psa, ale złe w człowieku pozostaje. Ugryzie, gdy odezwie się instynkt. W ogóle mnóstwo ludzi się tam kręci. Wiadomo przecież, że kręcą się tylko zbiry i złodzieje. Porządni obywatele chadzają, spacerują, ale się nie kręcą. Bo ludzie powinni wiedzieć, po co i gdzie idą, a nie płątać się jak smród po gaciach.

– No i pamiętaj – mówiła, gdy wychodziłem z domu – nie przyglądaj się ludziom. Jeśli trafisz na kalekę, to będzie mu przykro, że jest, jaki jest, i żyje, jak żyje, a raczej się sili. A gdy na jakiegoś zbira, to cię pobije. Widziałam w telewizji. „Co się gapisz?” – spytał i już chłopakowi ciekła krew z nosa. Dawniej wystarczyło linijką po wyciągniętych łapach, a teraz? Matka nie może uderzyć, a co dopiero wychowawca. I jak ja mam wychowywać, ja się pytam?

Zamiast na ludzi patrzyłem pod nogi. Na czubki butów, które zawsze były wypastowane, bo przecież jak cię widzą, tak cię piszą. Podejrzywałem, że jej studia to była jakaś wieczorówka, w dodatku zaoczna, albo i korespondencyjna, ale posłuch wśród uczniów i rodziny miała. Nie wiadomo, respekt czy tylko strach?

– O tobie, synuś, nigdy nic nie napiszą, bo ty za pospolity jesteś. Taki winniczek albo inny dachowiec. Ale to dobrze. To twój atut. Najlepiej nie rzucać się w oczy, nie ściągać spojrzeń, bo ludzie bywają zawistni. Babcia mówiła, że gdy byłam małą, to na moim wózku wiązała czerwoną wstążkę, żeby nie przyciągać złych spojrzeń. I pomogło. Popatrz, jak wyrosłam, jak mi się życie ułożyło. Bylebyś i ty dożył spokojnej starości. Zresztą ja ci też taką wstążeczkę wiązałam, ale nie wiadomo, czy pomogło. Teraz ludzie są inni, to i spojrzenia gorsze.

Nie zamieszkam w kokonie uplecionym z czerwonej wstążki! Nie miałem zamiaru zakopać się w pościeli i w ten sposób jakoś niepostrzeżenie, nie przykuwając za bardzo uwagi, wegetować we własnym łóżku aż do śmierci. Wyrosłem z tego. Jako dziecko lubiłem chować się pod kołdrą i odkrywać nowe obszary. Nie, nie w majtkach. Wyobrażałem sobie, że jestem odkrywcą, na przykład penetruję jaskinie. A czasami po prostu chciałem się udusić, za karę, aby innym było przykro. To nie siebie chciałem ukarać. Wystawiałem jednak głowę spod kołdry po pewnym czasie, gdy było już tak gorąco i duszno, że oddech zlepił grzywkę w wilgotny kołtun. Co jak co i gdzie jak gdzie, ale do tego łóżka nikt nie zaglądał. W przeszłości nawet matka, w przyszłości żadna inna kobieta. Wówczas nie przejmowałem się jednak tym, co będzie. Zresztą kto w młodości myśli o starzeniu się? Odkrywaliśmy świat. To znaczy moi znajomi odkrywali, tak słyszałem. Albo usłyszałbym, gdybym ich wtedy miał. Nikt nie chciał kumplować się z synem Hitlerówy. Mieli ją za despotę w spódnicy, a może

chodziło o wąsik? Nie mogę powiedzieć, że mama była do rany przyłóż, ale przynajmniej, w odróżnieniu od rodziców moich rówieśników, ran nie zadawała. Miałem spokojny dom, niezauważalnie drgający, rezonujący od jej dobrych, choć niemych intencji. Najobelżywsze są wyrazy niewyrażone, brzydkie słowa wysłane za karę do kąta. Nie trzeba podnosić głosu. Wyobraź sobie dom, w którym nie możesz wykrzyczeć, wyrazić siebie. Terror.

Mój świat był niewielki. Trzy na cztery metry. Swój pokój znałem na pamięć, zspalałem się z nim, praktycznie z niego nie wychodząc. Był spadkiem po Ignacym. Nic się w nim nie zmieniało, bez względu na modę i bunty za ścianą. Mieszkaliśmy w bloku, często było słycać krzyki, wyzwiska. My nie podnosiliśmy głosu ani w złości, ani w radiu. Szeptane rozmowy i szeptane piosenki. Rodzice nie byli postępowi, więc postępowali ze mną jak z Ignacym. Nieważne, jaki obowiązywał ustroj polityczny, ważne, by być przed dziesiątą w domu. Godzina policyjna. W nocy nie można było długo siedzieć przed komputerem, zresztą czytać też nie, bo kto to widział do pierwszej światło świecić. Matka bała się rachunku za prąd nie mniej niż Hitler rachunku za gaz. Zachłysnąłem się światem, dopiero gdy w domu pojawił się Internet. Do tego czasu moje życie było niczym wyrób o aromacie identycznym z naturalnym. Jak czekolada produkowana z przepracowanego oleju z dziesiątego tłoczenia, kupowanego na litry od fast foodu, bo do smażenia już się nie nadawał. W składzie jeszcze kakao z dyskontu, bo coś musi przecież nadawać czekoladowy smak. Wyrób czekoladopodobny. Łamie się jak czekolada, rozpuszcza się jak czekolada, tylko smakuje jak nieosolony popcorn. Styropian w sreberku i papierku. Ze mną było podobnie: mówiłem, jakbym żył, oddychałem, jakbym żył, tylko czułem się, jakby matka faktycznie dokonała skrobanki. Życie o zyciorysie identycznym z rzeczywistym. Wyrób zyciopodobny.

Każdy nowy dzień jednojajowym bliźniakiem wczorajszego. Dzień podobny do dnia tak bardzo, że już ich nie rozróżniałem. Nie wiedziałem, czy posty nakazane zachowywać, bo piątek, czy się w kościelne, odświętne ciuchy przyodziewać i na msze iść, bo niedziela. Kolejny dzień. I znowu nic się nie stało. W skrzynce mejlowej tylko spam, SMS-y wyłącznie od sieci, bo nowa promocja i taniej do trzech numerów. Nie miałem nawet jednego, do którego mógłbym dzwonić. Dni, które przyniosły nic, ale za to ładnie zapakowane, ze wstążeczką i papierem w baloniki. Widać nawet nic można dobrze sprzedać. Bez zmian. Nie radzę sobie ze sobą, z nią, z nim, z nimi, z tobą, z wami, z życiem. Gdzieś obok płynie czas, lecz nie teraz i nie później...

Nie umiałem tego zmienić. Nie potrafię do dziś. Hitlerowa przeszła na emeryturę, ja nie przeszedłem nigdzie. Ani metamorfozy, ani nawet na drugą stronę jezdni. W obawie przed potrąceniem przez tych, którzy poruszają się szybko, śmiało, zamykając licznik, a potem siebie w więzieniu za śmierć pieszego. Dwadzieścia pięć lat i nie mam koncepcji, o antykoncepcji nie wspominając. Bo niby z kim? A raczej za ile, bo przecież żadna by ze mną za darmo nie spała. Co najwyżej mogłaby się zdrzemnąć, a i to pod warunkiem, że nocuję na podłodze. Znalezienie sobie kogoś jest sprawą niecierpiącą zwłoki. Choć zwłoki na ogół już nie cierpią. Od tej sprawy czuć jednak trupem na kilometr. I to przygniłym, zleżałym. Nie podobam się kobietom, facetom też pewnie zresztą nie za bardzo. Pozostaje cieszyć się, że nie jestem bi, bo miałbym podwójny powód do zmartwień. A za oknem kolejna wiosna, świeże liście tkwią przytwierdzone do drzew. Czas się zakochać. Oczywiście oczywistość. W moim przypadku znalezienie sobie kogoś jest niczym lizanie samego siebie po łokciu – niewykonalne. Gdy się ma twarz jak po wybuchu atomowym, to adoratorki nie pchają się drzwiami, oknami ani

włazem od piwnicy. W dodatku to imię! Zbigniew! „Cześć, jestem Zbi”. Albo: „Cześć, jestem Gniew”. Tego nie da się nawet PR-owo przekształcić. Wystarczyłoby zniknąć.

Myśl, która boli, a gdy boli, to znaczy, że jesteś. Myśl, która świadczy o istnieniu. Ci, których już nie ma, nie głowią się przecież nad sobą. Myśl więc! Myśl, by żyć. A co, jeśli twój czas minie, a ty nawet nie spostrzeżesz, że wskazówki spotkały się po raz ostatni, by wskazać na przykład południe? Jakie znaczenie ma to, jaki byłeś, skoro świat już nigdy nie dowie się, kim mogłeś się stać? Matka ma rację, na stawanie się jestem zbyt pospolity. Pospolity?! A może właśnie świat czeka na pospolitych? Czeką na pospolite ruszenie! A miłość? Nikomu nie dasz już szczęścia, na które ktoś czeka, zabierzesz z sobą wyczekiwane, zasłużone. Znikanie to przejaw odwagi i egoizmu, z naciskiem na odwagę. Wciąż mi jej brak... Gdzie początek ma początek, gdzie się kończy koniec? Co wieczór układam głowę na torach do snu, ukołyszany stukotem nadjeżdżającego nocnego tramwaju. Nakłoń mnie do życia, bo póki co nie mam w planach kontynuować tego, przecież to nawet nie był mój pomysł!

Gdy świat przytłacza, myśl o znikaniu bywa odprężająca, ale w życiu bym się na to nie zdobył. No właśnie – w życiu! Za bardzo jestem ciekaw przyszłości, by się skończyć w terażniejszości. Życie to nie taniec limbo. Poprzeczka nie powinna znajdować się za nisko, ale gdy już będzie wystarczająco wysoko, nie możemy wciąż martwić się, czy jej przypadkiem nie strącimy. Nie ma złych rozwiązań, są tylko nieudane próby. Gdybym miał skrzydła, pewnie byłbym ptakiem – nietolem, kamerdynerem wśród fauny, tym małym, w czarnym fraku. Gdybym był rośliną, pewnie byłbym mchem, czasami pomógłbym odnaleźć właściwy kierunek, byłbym miły w dotyku, lecz praktycznie niezauważalny. Gdybym był sobą, pewnie mój podpis widniałby na jednej z tych książek, którą kupiłaś,

bo w telewizji śniadaniowej nadmienili, że teraz to mój czas. Gdyby mi się bardziej chciało, już dawno nie mógłbym żyć tak spokojnie, nijako. Przecież mogę być, kim zechcę: pisarzem, narzeczonym, szczęśliwym człowiekiem. Bo wszystko w życiu jest po coś. Nawet ja.